

Fatos Lubonja

Tłumaczenie z języka albańskiego: Dorota Horodyska

EPILOG

Fragment przygotowywanej do druku w Polsce dokumentalnej powieści Fatosy Lubonji *Drugi wyrok* (Ridenimi, Tirana 1996).

Lubonja napisał tę książkę wkrótce po wyjściu z więzienia, w którym spędził 17 lat. *Drugi wyrok* opowiada o sfingowanym procesie, podczas którego kilkunastu więźniów obozu pracy w Spaçu, w tym Lubonja, zostało w maju 1979 roku oskarżonych o utworzenie w obozie antykomunistycznej organizacji. Trzech więźniów: Fadila Kokomaniego, Xhelala Koprenckę i Vangjela Lezho skazano na karę śmierci. Dwudziestego dziewiątego maja 2019 roku mija 40 lat od ich rozstrzelania. Pozostali otrzymali drugie wyroki: od 16 do 23 lat. Fatos dostał 20.

W poniedziałkowy poranek, dziesięć dni po ogłoszeniu wyroku, strażnicy otworzyli drzwi i kazali opróżnić szafkę. W końcu opuszczałem celę, w której spędziłem kilka miesięcy i która mnie tak wyniszczyła.

Na dziedzińcu zobaczyłem czterech członków naszej „organizacji” skazanych po raz drugi: Beqira, Dhimitra, Nuredina i Roberta oraz trzech z innej grupy: Bardhiego, Sarandiego Lulo i Ernesta Kraję. Czekala na nas więzienna furgonetka. Z bramy kaushu, czyli izby tranzytu, przyprowadzono jeszcze kilku więźniów, głównie młodych, skazanych po raz pierwszy, którzy mieli jechać z nami. Skuto nas parami za nadgarstki i wraz z tobołkami brutalnie wypchnięto do metalowej klatki więźniarki. Była to kabina zamknięta z czterech stron, z żelazną ramą wzdłuż ścian służącą za siedziska i z wiadrem na wymioty pośrodku. Powietrze i światło z trudem przedostawały się przez niewielką uchyloną klapę w suficie. Wiedzieliśmy, że podróż będzie torturą, ale nie przejmowaliśmy się tym zbyt, ponieważ wreszcie byliśmy razem i mogliśmy swobodnie rozmawiać.

Młodzi nie brali udziału w rozmowach o losie Fadila, Vangjela i Xhelala. Cele Roberta i Sarandiego sąsiadowały na parterze z ich celami, a ponieważ nie mogli spać w nocy, byli pewni, że nie słyszeli, żeby wprowadzono Fadila i Vangjela na egzekucję. Także

w dniu wyjazdu słyszeli, jak prowadzono ich związanych do ubikacji. Wciąż mieliśmy nadzieję, że może w ostatniej chwili zmienią im wyrok. Sarandi opowiadał o procesie swojej grupy. Xhelal nie mógł uwierzyć, kiedy usłyszał wyrok: rozstrzelanie... i poprosił o godzinę na przygotowanie mowy obrończej.

– Może chcieli ich nastraszyć i Prezydium Zgromadzenia Ludowego daruje im życie – powiedział, ale nie doczekał się komentarza.

– Mam nadzieję, że oszczędzą Vangjela – odezwał się do Roberta, który siedział obok mnie.

– Bardzo wątpię – odpowiedział.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Powiem ci później.

Były chwile, kiedy nasze pytania pozostawały bez odpowiedzi, rozmowa się nie kleiła, a my czuliśmy się sobie obcy. Nagle odkryliśmy, jak to wydarzenie nas zniewoliło i zmieniło. Zobaczyliśmy siebie i pozostałych w innym świetle.

Po kwadransie jazdy wyczuliśmy, że kierujemy się na północ drogą na Fushë-Krujë. Sądziłem, że

że wiozą nas do więzienia w Burrelu, ale kiedy młodzi, którzy wyglądali przez okienko, powiedzieli, że jesteśmy pod mostem Zoga, stało się jasne, że wiozą nas z powrotem do Spaça. To było najgorsze rozwiązanie. Rozmowa zgasła. Drugi wyrok nie dał nam nawet tej jedynej korzyści, jaką mógłby być wyjazd ze Spaça. Przez nieskończone lata będziemy harować w kopalni. Góra nad Spaćem zamajaczyła złowieszczo w naszej wyobraźni.

Więźniarka zatrzymała się przed żelazną bramą obozu, ale jej silnik wciąż pracował. Podczas otwierania bramy Bardhi wyrzyczał cały strach, który nas paraliżował:

– Przysięgam, że chcę nas tu pochować. Śledczy powiedział, że żywi stąd nie wyjdziemy.

Więźniarka wjechała na teren obozu do strefy niczyjej, gdzie przeprowadzano kontrolę „mięsa”, czyli nowo przybyłych skazanych. Wsiadaliśmy po kolei, zgięci i zdrętwiali, zaczęliśmy rozprostowywać kości w oczekiwaniu na rewizję.

Po chwili nadszedł strażnik. Zbiegiem okoliczności był to ten sam Pjetër Leka, który mnie eskortował pięć miesięcy wcześniej. Stał przy nas z tym swoim metalowym zębem na wierzchu i pytał, ile lat dostaliśmy.

Z dołu dobiegały głosy więźniów, którzy bez wątpienia dowiedzieli się o naszym powrocie i zgromadzeni na polu czekali, aż zejdziemy, żeby nas powitać. Kilku najodważniejszych i najbardziej niecierpliwych wsadziło głowy w niewielkie drzwi, chcąc nas pozdrowić.

Ale coś było nie tak. Mimo że kontrola się zakończyła i młodzi zeszli na dół, nas wciąż trzymano na górze przy budynku komendantury. Po półgodzinie kazano nam z powrotem wsiąść do suki. Ucieszyliśmy się, ponieważ wróciła nadzieja, że może zawiozą nas do Burrelu. Ale czekała nas kolejna wyczerpująca podróż. Kiedy wsiadłem do metalowego pudła, zemdlili mnie smród wymiocin w wiadrze. Czułem, że nie będę w stanie znieść męczarni drogi powrotnej. Jednak kiedy ruszyliśmy, przeważało uczucie ulgi, myśl, że może Spać nas przyjął nas dlatego, iż w obawie

przed odwetem poskarżyli się na nas fałszywi świadkowie na procesie, którzy wrócili kilka dni wcześniej.

Furgonetka brała zakręty szybciej niż poprzednio, od czego jeszcze bardziej kręciło nam się w głowach.

Po raz drugi straciliśmy nadzieję na więzienie w Burrelu, kiedy po minięciu mostu Zoga skierowaliśmy się na południe.. Pozostawały Tirana i Ballsh. Miało się to okazać po przejechaniu pięćdziesięciu kilometrów, w Fushë-Krujë.

Kiedy tam dojechaliśmy, moja głowa tkwiła w wiadrze z wymiocinami. Po drodze zwróciłem wszystko, co miałem w żołądku i chociaż był już pusty, jego skurcze były nie do zniesienia. Kiedy jednak skręciliśmy do Tirany, od razu oprzytomniałem. Co się dzieje? Dlaczego wracamy do Tirany? Czyżby zmienili zdanie? Ogarnęła nas trwoga.

* * *

Znowu otworzyły się te same drzwi, wszedłem na górę po tych samych schodach, co pięć miesięcy wcześniej. Wróciłem do swojej celi.

Była taka, jaką zostawiłem, te same cztery koce w prawym kącie i manierka na mocz, wypełniona do połowy. Podróż do Spaça wydała mi się nierzeczywista. Czułem się tak wyczerpany wstrząsami furgonetki na wybojach, że zasnąłem kamiennym snem.

Następnego dnia, we wtorek, czekałem z niepokojem na to, co się wydarzy. Scenariusze rozdziły się jeden po drugim i gasły w czarnej dziurze niepewności, która pociemniała jeszcze bardziej, kiedy tego dnia nikt mnie nie wezwał.

Środa upłynęła podobnie.

We czwartek przed południem usłyszałem jakiś ruch od strony starego Biura Śledczego. Przylgnąłem do drzwi i cały zamieniłem się w słuch. Po jakiejś godzinie doleciał z korytarza ochrypły głos, który wydał mi się znajomy:

– Dam ci listę i będziesz mi ich przyprowadzać po kolei.

Byłem pewny, że chodzi o nas, ponieważ tylko my stanowiliśmy tutaj grupę.

Po kilku minutach dało się słyszeć charakterystyczne szuranie chodaków przy akompaniamencie kroków strażnika. Szybko odsłoniłem swoją szczelinę w judaszu. Zobaczyłem dwa waciaki, jeden khaki, drugi szary. Szli do starego Biura Śledczego.

Czekałem. Po dwóch albo trzech minutach dwie pary kroków wróciły. Jeśli przyprowadzą kolejnego, będzie jasne, że chodzi o nas. I rzeczywiście, po kilku minutach znowu rozległo się szuranie. Znowu zobaczyłem więzienny waciak. To był chyba Beqir.

Także on szybko skończył i wrócił z Biura Śledczego.

Ta szybkość zwiększyła mój strach. To mogło oznaczać nowy akt oskarżenia.

Nie wiem, czy byłem piąty, czy szósty, kiedy otworzyły się moje drzwi i stanął w nich Ali Balla z niemieckimi kajdankami w ręku. Odwróciłem się i podałem ręce do tyłu. Czułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Założył mi kajdanki i zacisnął bez słowa.

Przeszliśmy korytarzem z celami i weszliśmy do starego Biura Śledczego. Skierował mnie do jednego z pierwszych pokoi na prawo. Sam pozostał na zewnątrz. Czekał.

Stałem twarzą w twarz z człowiekiem, którego od razu poznałem. Był to Kapllan Sako zastępca dyrektora Służby Bezpieczeństwa Państwa. Nigdy nie zapomnę pierwszego dnia mojego aresztowania pięć lat wcześniej i jego pierwszych słów skierowanych do mnie: „Wzięliśmy ciebie, żeby zapytać o twoje poglądy polityczne”.

Od tego czasu go nie widziałem.

Kapllan czekał na mnie, stojąc. Niewiele się zmienił. Miał te same ostre rysy, był równie szczupły

i szpakowaty, typowy człowiek Sigurimi, od fasonu garnituru po ulizane włosy. Za biurkiem siedział drugi mężczyzna o śniadej skórze, którego nie znałem. Na skraju biurka zobaczyłem białą kartkę papieru formatu A4.

– Ty jesteś Fatos? – zapytał Kapllan.

– Tak – odpowiedziałem.

– Czy mnie znasz?

– Tak.

– Kiedy się widzieliśmy? – dodał, sondując, czy to pamiętam.

– W lipcu 1974 – odparłem.

Był zadowolony, że go zapamiętałem.

– Dlaczego przyjąłeś taką postawę w sądzie? Nie spodziewaliśmy się tego po tobie.

– Niczego nie zrobiłem – powiedziałem. Nie mogłem przyznać się do rzeczy, których nie zrobiłem.

Nie miałem zamiaru spierać się z nim, ponieważ moją głowę dręczyła tylko jedna myśl: że szykują kolejny wyrok na mnie i muszę bardzo ważyć słowa.

– Czyli że nasz sąd ludowy skazał cię za nic? – podniósł głos.

„On chyba naprawdę wierzy w to, co sam sfabrykował” – pomyślałem zaskoczony, kiedy frazę „sąd ludowy” wymówił tak, jakby była świętością, prawie jak sam naród.

– Tutaj są teczki. Przejrzyjmy je znowu – powiedziałem na pozór zdecydowanie.

Milczał przez chwilę, nie chcąc przeciągać rozmowy, i przeszedł do sedna:

– Powiedziałeś: „Fadil Kokomani jest moim najlepszym przyjacielem”, pamiętasz?

Poczułem, że tutaj jest pies pogrzebany.

– Powiedziałem to w sensie moralnym – odparłem – ponieważ zachował się jak mężczyzna.

Zmarszczył czoło na tę odpowiedź.

– Ejże! Jaki mężczyzna? Jaki mężczyzna? – wykrzywił twarz i chwycił gwałtownie białą kartkę papieru z brzegu biurka:

– Oto gdzie jest twój najlepszy przyjaciel.

Nie wiem, czy to palec Kapllaniego skierował tam mój wzrok, czy sam tam spojrzałem. Pod kartką papieru leżało kilka fotografii zrobionych zapewne nocą z lampą błyskową. Oczy Fadila, Vangjela i Xhelala patrzyły na mnie bardziej z osłupieniem niż przerażeniem. Siedzieli na pryzmie ziemi z rękoma skutymi do tyłu, powiązani we trójkę sznurem. Tę fotografię zrobiono im na kilka chwil przed rozstrzelaniem.

Kapllan krzyczał histerycznie: „Oto gdzie jest twoje miejsce! Oto gdzie jest twoje miejsce, jeśli jeszcze raz staniesz w tych drzwiach!” i dźgnął palcem jedną z fotografii. Zobaczyłem obrzmiałą twarz z plamą krwi, która ciągnęła się od czoła, przesłaniała oczy, część nosa i policzki i spływała trzema albo czterema strużkami na szyję. Z trudem rozpoznałem twarz Fadila. Poczułem dziwny dreszcz. Ten widok wydał mi się straszny, prawie obcy. Czegóż podobnego doświadczyłem w dzieciństwie, kiedy patrzyłem na fotografie zabitych dywersantów wiszące na wystawie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Kapllan wciąż krzyczał, że mnie także czeka kula w łeb, że także mnie rozpieprzą, jeśli jeszcze raz przekroczę próg tych drzwi.

Kiedy zobaczyłem Fadila, byłem tak wstrząśnięty i w takim napięciu, że nie potrafiłem się skupić na widok zwłok Vangjela i Xhelala. Mój wzrok przesunął się jedynie na inną dużą fotografię pod spodem, na której leżały obok siebie trzy ciała. Rozpoznałem szarą marynarkę Iljaza Pirro, którą miał na sobie Fadil podczas procesu.

Nie wiem, jak udało mi się podnieść głowę i nie wymówić słowa.

– I ty mówisz, że „Fadil Kokomani jest moim najlepszym przyjacielem”! – znowu wybuchł Kapllan.

– Co jeszcze mam powiedzieć?

– Niech żyje Partia. Zawołaj: „Niech żyje Partia!”
Strażnik, zabierz go!

Wyszedłem w milczeniu. Wsadzili mnie do celi, gdzie roztrzęsiony chodziłem tam i z powrotem do rana.

Nie mogłem zapomnieć plamy krwi na twarzy Fadila i mojego strachu na widok tamtych ciał. Dlaczego tak mną wstrząsnął? Dlaczego czułem dziecięcy strach, patrząc na martwego człowieka? Potem stanął mi przed oczami Kapllan. Jak mógł oczekiwać ode mnie, że tuż po zamordowaniu moich przyjaciół i po skazaniu po raz drugi, wykrzyknę „Niech żyje Partia”? Czy udawał, czy rzeczywiście wierzył w to, co mówi? Potem widziałem oczy Xhelala, Fadila i Vangjela, bardziej zdziwione niż przerażone. Nie chcieli uwierzyć w to, co się z nimi dzieje. I znowu martwa twarz Fadila. Próbowiałem uwolnić się od pierwszego wrażenia, jakie wywołał we mnie jej widok, znaleźć w sobie współczucie, ale nie byłem w stanie. Przed oczami przepływały mi sceny z ostatnich miesięcy, a zawroty głowy nie pozwalały zatrzymać się na żadnej z nich.

Położyłem się spać w nadziei, że kiedy się obudzę, lepiej zrozumiem to, co się wydarzyło. We śnie zobaczyłem ich trzech żywych. Okutani w szare waciaki, chodzili tam i z powrotem na placu przed fryzjernią w Spaçu, żeby ogrzać nogi.